

## **OKRĄGLY PRZEKREŚ**

*Monice*

*Nawet dziecko dwuletnie zauważy, jak to było nieelegancko robione. Jeszcze raz mówię:  
Polska widziała, a wy jesteście niewidomi!*

Ryszard Kulesza

*Graliśmy uczciwie. Ja oszukiwałem, ty oszukiwałaś, wygrał lepszy.*

Wielki Szu

*Winston doszedł do wniosku, że najlepsze książki to te, które nam mówią, co już sami wiemy.*

George Orwell, *Rok 1984*

1.

*Maj 2011, okolice Krakowa*

Lasy po zmroku zamieniają się w potencjalne plenery tanich horrorów. Drzewa nie szumią wiosennie, nie zapraszają do romantycznych spacerów. Zaczynają posępnie mrużyć cmentarne opowieści. Krzaki przeobrażają się w widma, a gałęzie w zjawy. Las staje się złowrogi i obcy. Maciejowi Bojarskiemu ta obcość nie przeszkadzała. Bardziej doskwierały mu przejmujący chłód majowej nocy i późna pora. Minęła północ, a on zamiast leżeć w ciepłym łóżku, stał oparty o samochód na leśnej polance kilkanaście kilometrów od Krakowa. Czekał. Z każdą minutą coraz bardziej sfrustrowany spoglądał w kierunku, z którego pół godziny temu powinien nadjechać samochód. Kurwa, wreszcie! – zaklął pod nosem, kiedy w oddali zobaczył światła skręcającego pojazdu. Auto zjechało z szosy w leśną dróżkę i powoli zmierzało w jego stronę.

– Panowie, jest pierwsza w nocy! – Rzucił pod nogi papierosa.

– Sorry panie reżyserze, ale auto nam się zesrało – odpowiedział pasażer, gramoląc się z samochodu.

Bojarski podszedł do pojazdu.

– Wam się we łbach coś zesrało! – warknął. – Zdżichu jeszcze rano mówił, że nie ma tematu, a wy mnie później z wyra w środku nocy wyrwacie.

– Bojar, nie marudź, tu mamy pocieszenie dla ciebie. – Gość położył na masce pudełko po włoskich butach. – Piętnaście klocków.

– Piętnaście to mi się należy za samo stanie tu na tym pieprzonym wygwizdowie.

Zajrzał do pudełka, omiatając wzrokiem równo poukładane banknoty. Zamknął je i wrzucił je na tylne siedzenie.

– Nie przeliczysz? – Kontrahent uniósł brwi.

– Nie chce mi się.

– Ufasz nam...

– Jasne – zakpił Bojarski, wsiadając do samochodu.

Włączył silnik i wyjechał ostrożnie leśną ścieżką na szosę. Wypchane banknotami pudełko poprawiło mu humor. To mogły być łatwo zarobione pieniądze.

2.

*Kraków, stadion Sławy*

– Ty chuju, ty sprzedawczyku, ty dzyndzlu jebany! – Inwektywy atakowały niczym pociski karabinu maszynowego.

Na Bojarskim nie robiło to już wrażenia. Dawno wyrobił w sobie syndrom gumowej kaczki – dziecięcej zabawki, po której wszystko spływa. Nie martwił się wulgarnymi kibolami. Przyzwyczał się do ich wykrzywionych nieludzko twarzy, poprzyciskanych do płotów i siatek oddzielających boisko od trybun. One zawsze tam były, zawsze tak samo brzydkie, tak samo nienawistne i tak samo nieszkodliwe. W najgorszym przypadku mogła go dosięgnąć jedynie ślina tych półtorametrowych szczeniaków, którzy jeszcze się nie gołą, ale już go nienawidzą.

W czterdziestej minucie meczu Sławy Kraków z Krakowianką był zmuszony przerwać grę, bo obserwator zgłosił zastrzeżenia do flag kiboli wywieszonych na płocie. Napis na jednej z nich sugerował semickie pochodzenie kibiców drużyny przeciwnej i twierdził, że ich miejsce jest w Treblince, a nie na stadionie. Na drugiej widniała podobizna słynnego kaczora znanego z kreskówek braci Warner opatrzona antyrządowym hasłem: „Kaczor Dafi to szef mafii!”. Te dwie szmaty mają zniknąć, przekazał Bojarskiemu sędzia techniczny. Chcąc nie chcąc, sędzia przerwał mecz. Z kibolami mediował kapitan Sławy. Po pięciu minutach kontrowersyjne flagi zniknęły z płotu. Zastąpiło je białe prześcieradło z nabazgranym czarną farbą napisem „Cenzura!”. Kibole byli przygotowani na wszystko. Ich scenariusz sprawdzał się punkt po punkcie.

Podobnie jak scenariusz Bojarskiego. Pierwszych piętnaście minut sędziował, jakby zapomniał o zawartości pudełka na buty. Później na każdym kroku dawał do zrozumienia piłkarzom Krakowianki, że dziś muszą przegrać. Jakkolwiek by się starali, on i tak może postarać się bardziej. Nie drukował na chama. Wystarczyły drobiazgi. Każda sporna sytuacja rozstrzygana na korzyść Sławy, odgwizdywanie wszystkich, nawet najdrobniejszych przewinień, żółte kartki za podejmowanie jakichkolwiek dyskusji. W tym meczu nie trzeba było dyktować rzutów karnych „z kapelusza” w dziewięćdziesiątej minucie. Gospodarzom do skromnego zwycięstwa wystarczyło subtelne wspieranie. Bojarskiego z kolei zadowalało skromne zwycięstwo gospodarzy, aby spokojnie podzielić piętnaście tysięcy na trzy nierówne kupki. Dwa tysiące dostał obserwator za przymknięcie oka na „delikatne sprzyjanie” i wysoką notę. Trzy tysiące otrzymali do podziału asystenci. Dycha została w kieszeni Bojarskiego. To były łatwo zarobione pieniądze.

### 3.

#### *Kraków, hotel w centrum miasta*

Sędzia Maciej Bojarski leżał na twardym i wąskim hotelowym łóżku, patrząc tępo w niewielki telewizor zawieszony pod sufitem. Wygląda na to, że dziś poznaliśmy nowego mistrza Polski, wyrokował redaktor Igor Majewski prowadzący program *Krótką piłka*. W studiu trwała zażarta dyskusja na temat słabych, nudnych i do bólu przewidywalnych derbów Krakowa, na które cała piłkarska Polska od kilku dni ostrzyła sobie zęby, a pół piłkarskiego Krakowa noże.

– Sława musiała wygrać i wygrała, problem tkwił w biernej postawie Krakowianki – stwierdził jeden z piłkarskich ekspertów.

– Mnie bardziej niepokoi fakt, że w meczu między liderem ekstraklasy a jednym z kandydatów do spadku nie widać było różnicy jakościowej dzielącej te drużyny. Długimi fragmentami nie rozróżniałem, kto walczył o mistrzostwo, a kto o utrzymanie.

– No właśnie, czy nie sądzicie panowie, że szykuje się nam najslabszy piłkarsko mistrz od wielu, wielu lat? – Dziennikarz spojrział pytająco na gości.

– Zdecydowanie tak. Wystarczy rzucić okiem na dorobek punktowy. Rok temu lider miał aż dwanaście oczek więcej.

– Nie wiem, czy najslabszy, ale ja tej drużyny w Lidze Mistrzów nie widzę nawet po odważnym liftingu.

Po twarzach mężczyzn przemknął ironiczny uśmiešek. Redaktor zwrócił się w drugą stronę.

– Tradycyjnie jest z nami ekspert sędziowski. Jak pan ocenia pracę sędziego Bojarskiego?

– Nie mam większych zastrzeżeń. – Kamera chwyciła twarz eksperta. – Maciej Bojarski z Łodzi jest jednym z najciekawszych polskich arbitrów i jednym z nielicznych trzymających równy, wysoki poziom. Jemu nie zdarzają się słabsze mecze. Dziś także ustrzegł się błędów. W spotkaniu Sławy z Krakowianką miał dziwny fragment takiej, nazwijmy to, drobiazgowości i niestety przyczynił się do tego, że mecz był rwany, a przez to nieatrakcyjny dla widzów. Ale to oczywiście nie błąd. Widocznie wymagała tego sytuacja na boisku.

Bojarski przysłuchiwał się analizom bez większego zainteresowania. Miał ochotę na kieliszek koniaku, ale ten jak na złość tkwił na samym dnie torby podróżnej upchniętej w szafie po drugiej stronie pokoju. Był zmęczony i samo myślenie o tym, co musiałby zrobić, by się napić, sprawiało, że nogi i ręce stawały się ciężkie, a leniwa półkula mózgowa upierała się, że wcale nie chce mu się pić. Od wewnętrznych zapasów z połączonymi siłami zmęczenia i lenistwa uwolniła go melodyjka telefonu komórkowego. Nie odrywając wzroku od telewizora, sięgnął ręką na szafkę nocną, ale komórki nie zlokalizował. Podniósł się na łóżku. Cholera, została w spodniach, mruknął. Wstał niechętnie i poczłapał na bosaka w kierunku krzesła, na którym wisiały dzinsy. Jak to jest, że spodnie mają zwykle tylko cztery kieszenie, a szukany przedmiot najczęściej jest w tej czwartej, ostatniej? Telefon śpiewał już trzecią zwrotkę, wibrator wrzucił drugi bieg. Dogrzebał się wreszcie i odebrał.

– Co jest, Zdzichu?

– Słyszałem, że grzyby zbierałeś! – Głos w słuchawce zarechotał złośliwie.

– Weź mnie, Zdzichu, nie wkurwiał. Już dawno po paciorku byłem, jak mnie wydzwonili, żebym przyjechał. I to się jeszcze uparli, żeby nie na stacji, tylko w tym naszym lasku koło Radziszowa...

– To ja nie wiedziałem panie reżyserze, że pan taki romantyczny. Nocne spacerki po lesie w świetle księżycy... warto chociaż było?

– Dycha netto wpadła.

– Średnio na jeża.

– Ale roboty nie miałem dużo.

– No fakt, aż cię ekspert pochwalił.

Obaj parsknęli śmiechem.

– Kiedy wpadniesz do mnie na jakieś strzelanie?

Bojarski zagryzł wargi, starając się otworzyć w pamięci przegródkę z napisem „kalendarz”.

– Pod koniec miesiąca powinienem dać radę. Zarezerwuj dla mnie las na ostatni weekend maja.

– Zwierzyna już robi pod siebie!

## CZEŚĆ I

### 1.

*Lipiec, Marsylia*

Restauracja Fruit d'Amour mogła mylić nazwą potencjalnych klientów. Szyld „Owoc miłości” mógłby kusić młode zakochane pary mające ochotę na niezbyt drogi, wegetariański posiłek. Tymczasem we Fruit d'Amour ani nie serwowano owoców, ani nie liczono na romantyczną klientelę. Młode pary, także ze względu na ceny, raczej omijały ten lokal szerokim łukiem. Zakochani nie mieli tu czego szukać. Chyba, że zakochani w sobie lokalni politycy i biznesmeni bywający w „Owocu miłości” z nadzieją na udany finansowy „romans”, lub „podniecającą” fuzję. Tak czy inaczej Fruit d'Amour wbrew nazwie należał do grupy lokali biznesowych.

Adrian Kotowski kończył posiłek. Odkładając sztućce i wycierając błyszczące od tłuszczu usta, nie myślał o romansach, finansach czy fuzjach. Był pełen obaw. Modlił się w duchu, żeby za chwilę nie doszło do brzemiennego w skutki rozstania. Spojrzał na siedzącego naprzeciw towarzysza. Pierre Blanc miał resztki sosu na wardze, co zabawnie klóciło się z jego arcyważną miną i takąż funkcją zawodową. Ale kto powiedział, że prawa ręka prezydenta europejskiej federacji piłkarskiej nie może pobrudzić ust jedzeniem? Wyglądał być może nieco zabawnie, ale Kotowskiemu wcale nie było do śmiechu. Miał tremę, jak sztubak przed ważnym egzaminem. Z Blankiem nigdy nie rozmawiało mu się łatwo, nawet wówczas, gdy ten był jego trenerem w Marsylii. Pierre to trudny rozmówca i jeszcze trudniejszy negocjator, poinformował Kotowskiego jakieś dziesięć lat temu menedżer załatwiający jego transfer do francuskiego klubu. Ma silny charakter, cięty dowcip, bogaty słownik, dzięki czemu może odważnie argumentować swoje kontrowersyjne poglądy.

Już pierwszy wspólny trening potwierdził te słowa. Kotowski, mimo że trafiał do Marsylii w glorii świeżo upieczonego mistrza Polski, jako gracz reprezentacji, od razu został sprowadzony do parteru. Ale później było lepiej. Popularny Adi udowodnił, że ma ogromny talent, a Blanc to docenił. Doceniał piłkarski talent Kotowskiego, polubił go jako człowieka.

Zaprzysiężeni się, a ich znajomość przetrwała, nawet mimo że Kotowski po dwuletnim pobycie w Marsylii musiał przedwcześnie zakończyć karierę i wrócić do Polski. Blanc mniej więcej w tym samym czasie tylko sobie znanym sposobem awansował z funkcji trenera do roli piłkarskiego „polityka”, trafiając na eksponowane stanowisko w federacji piłkarskiej. To on nam załatwił Euro, Kotowski przekonywał kolegów z Polskiej Federacji Piłkarskiej, wiedząc, że odrobinę przesadza. Ale tylko odrobinę.

– Smakowało, Adi? – zagaił Pierre Blanc, uwalniając chusteczką wargi od resztek sosu.

– Wyborna – pochwalił Adrian Kotowski, umiejętnie tłumiąc napięcie. – Kto by pomyślał, że makaron z warzywami może być aż tak dobry.

– Wegetariańska lasagne to u nas ostatnio bardzo popularne danie, mimo że włoskie i podobno plebejskie...

Stuknęli się kielichami wypełnionymi sześcioletnim Solar De Samaniego, ulubionym winem Blanca.

– No to, na dobre trawienie! – zaproponował Francuz.

– Na zdrowie i za to miłe spotkanie!

Chłodne wytrawne wino było niczym kojący balsam łagodzący przełyk po przemarszu solidnie przyprawionej potrawy. Odstawili kieliszki i niemal równocześnie głęboko westchnęli. Czekala ich trudna rozmowa.

– Dawno u nas nie byłeś, Adi. Marsylia stęskniła się za tobą.

– Tęsknię nie mniej niż Marsylia, uwierz mi Pierre, ale multum spraw zawodowych... zresztą, sam wiesz.

Blanc pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Pewnie nawet nie słyszałeś, ale znalazłeś się w naszej lokalnej alei legend. Twoje zdjęcie od kilku tygodni wisi obok największych marsyjskich piłkarzy. Ostatnio też francuska telewizja przygotowała film dokumentalny o twoim pobycie tutaj. Pamięć twoich piłkarskich wyczynów ciągle żywa!

– To bardzo miłe. – Niejednoznaczny grymas wykrzywił Kotowskiemu twarz. – Moja pamięć piłkarskich wyczynów sprowadza się głównie do bolącej nogi i świadomości, że nadal mam śrubę w kolanie.

– Ech, nie przesadzaj! – zachnął się z uśmiechem Francuz. – Znam chłopaków, którzy po takim złamaniu kuśtykają o kulach. A ty śmigasz, jak zdrowy junior.

Do stolika podeszła kelnerka i uzupełniła im kieliszki.

– Dużo masz roboty w federacji jako menedżer? Twój koleś mówi o tobie *eminence grise*.

– Francuz zamyślił się na moment. – Jak to u was tłumacza? Shakra eminensja...



– Tak – zaśmiał się Kotowski. – Jestem szarą eminencją, bo oszczędzają pieniądze na etatach. Tak swoją drogą, o tobie też tak mówią.

Obaj parsknęli szczerym śmiechem.

– To zabawne – Blanc sięgnął po kieliszek – ale teraz częściej to ja bywam u ciebie, niż ty odwiedzasz stare francuskie kąty. Świat się zmienia. Muszę jednak zaznaczyć, że wcale mnie to nie dziwi. Piękniejecie. Po tej starej, szaroburej Polsce to już chyba nic nie zostało.

– Polska już w latach dziewięćdziesiątych przestała być szarobura.

– No tak. – Francuz skinął głową i upił łyk wina. – Pokolorowało was po osiemdziesiątym dziewiątym, ale pamiętam, że w tych pozornych kolorach jeszcze długo brakowało jakości. Teraz naprawdę u was zrobiło się pięknie.

– To piękno jest nadal powierzchowne. Dużo mamy do zrobienia, poprawienia, wybudowania.

Polak spojrział wyczekująco. W jego słowach kryła się wyraźna sugestia.

– Będzie dobrze. – Blanc odstawił kieliszek.

Kotowski spojrział na niego zdziwiony.

– Będzie dobrze? – zapytał. – To powiedz mi, Pierre, dlaczego tydzień temu dzwonił do mnie człowiek z PFP i powiedział coś zupełnie innego. Mianowicie, że nie będzie dobrze, a wręcz przeciwnie, że jest źle.

– Widzisz, Adi. – Francuz westchnął znacząco – Wy, Polacy, myślicie, że wybudujecie stadiony i to wystarczy. Pal licha, że mieliście wybudować trzy razy więcej autostrad i dróg, że ciągle jest za mało hoteli, a te, które są, nie zawsze zasługują na tyle gwiazdek, ile świeci się nad ich szyldami w przewodnikach turystycznych. Pal licha, że podczas Euro wasze lotniska mogą się zatkać, a większość dużych ulic w mistrzowskich miastach zatka się na pewno...

– Dobrze wiedzieliście, że tak to będzie wyglądać, kiedy przyznawaliście nam organizację tych mistrzostw – wszedł mu w słowo Kotowski. – Nawet nieuleczalni optymiści nie mieli prawa wierzyć, że Polska wykona plan w stu procentach. Obaj dobrze wiemy, że najważniejsze są stadiony. To na nich odbędą się mecze i to one w przyszłości będą przynosić zyski. Co was tak naprawdę obchodzi dziury w polskich szosach czy standard hoteli?

Blanc uśmiechnął się szeroko i opadł plecami na oparcie krzesła.

– Nie słuchasz mnie uważnie. Przecież mówię, że pal licha z drogami i hotelami. Czy ludzie z twojej federacji powiedzieli ci, po co masz tu do mnie przyjechać?

– Nie. – Kotowski oparł się łokciami o blat stołu. – Nikt nic nie wie, czyli polski standard. Wiem tylko, że w Gdańsku i we Wrocławiu w ostatnich miesiącach wykonano kawał dobrej roboty, a ty na ostatniej wizytacji z niewiadomych powodów byłeś niezadowolony. Podobno

nawet bardzo niezadowolony. Jak nigdy wcześniej. Nawet wtedy, gdy zamiast stadionów oglądałeś wykopaliska, koparki i sterty gruzu. W PFP zapanowała panika, bo nikt nie wie o co chodzi. Zbyszek Myszor powiedział mi nawet, że chyba chcecie nam odebrać Euro.

Blanc sięgnął po kieliszek, upił solidny łyk wina i zacisnął wargi, chcąc jak najdłużej cieszyć się szczypiącym posmakiem. Przymknął oczy i milczał.

– Pierre, o co chodzi? – W głosie Kotowskiego po raz pierwszy ujawniła się nutka niepokoju.  
– Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że na rok przed turniejem... że Włosi jednak...

– Nie, nie! Spokojnie – Francuz ocknął się z chwilowego letargu. – Euro będzie w Polsce i na Ukrainie, pod tym względem nic nie ma prawa się zmienić.

Polak westchnął głęboko i teraz on z ulgą opadł na oparcie krzesła.

– To mów, o co chodzi. No bo o coś przecież chodzi?

– Wybacz, że tak igram z waszymi nerwami i krążę wokół tematu, ale sprawa jest śliska i trzeba ją załatwić sprawnie. – Blanc skrzyżował ręce na piersi i przeszył wzrokiem rozmówcę. – Dobrze wiesz, dlaczego dostaliście organizację Euro, i dobrze wiesz, że jest to transakcja wiązana z korzyścią dla obu stron. Dla Polski, ale dla federacji europejskiej też. Dla was jest to niepowtarzalny bodziec do rozwoju i do podgonienia cywilizowanego świata...

– Pierre, błagam, do rzeczy! Ty mi oczywistych oczywistości nie musisz tłumaczyć.

Blanc zamilkł i spojrzał z pretensją. Po chwili kontynuował spokojnym tonem.

– Skoro o polskich korzyściach nie chcesz rozmawiać, bo są oczywistościami, to przejdźmy do korzyści federacji europejskiej. To jak widzę, dla was Polaków, już takie oczywiste nie jest.

W jego oczach pojawiły się złośliwe iskierki. Kotowski odwrócił wzrok zmieszany celną ripostą. Szybko jednak otrząsnął się po ciosie.

– Jakie wy chcecie korzyści rok przed Euro? – zapytał, panując nad głosem. – Przecież na razie i my inwestujemy, i wy inwestujecie w całe przedsięwzięcie. Łupy będziemy dzielić najwcześniej pewnie za trzy, może cztery lata.

– Żeby za trzy, cztery lata był jakikolwiek łup do dzielenia, to w niektórych sprawach już dziś trzeba zacząć działać! – Blanc przysunął twarz do twarzy Kotowskiego. – Bo jak tak dalej pójdzie, to na tych nowoczesnych stadionach już miesiąc po mistrzostwach będziecie mieli wielkie targowiska z Chińczykami handlującymi plastikowym badziewiem i jednorazową bielizną. Adi, mój drogi, myśmy wam dali te mistrzostwa, bo was potrzebujemy w Europie! Jesteście kopalnią pieniędzy i pustynią zarazem. W Polsce żyje blisko czterdzieści milionów ludzi, a jesteście piłkarską dziczą. Białą plamą na mapie UEFA! Nie ma z was na razie żadnego pożytku. Euro miało być tylko bodźcem do rozwoju i drogą do celu. Tym celem jest wasze dołączenie do biesiadnego stołu, generowanie zysków dla siebie i dla nas. Wasze kluby

mają grać w pucharach, telewizje kupować prawa do transmisji meczów, kibice wypełniać stadiony, zajadać się kiełbaskami i owijać szalikami za dwadzieścia euro. Interes musi się kręcić!

Ostatnie słowa wypowiedział już dwa tony głośniej. Ciężko odetchnął i odsunął się od rozmówcy. Oparł się wygodnie plecami o krzesło i założył nogę na nogę.

– Po co ułatwił mi drogę do Ligi Mistrzów dwa lata temu? – zapytał spokojniejszym głosem. – Chyba nie po to, żeby wasze kluby odpadały w rundach przedwstępnych po meczach z drużynami z Azerbejdżanu.

– Czego ode mnie oczekujesz? – Na twarzy Polaka pojawił się ironiczny uśmiech. – Co mam zrobić: pojechać do Krakowa i pokrzywić na trenera i piłkarzy?

Blancowi nie spodobał się sarkazm kolegi.

– Czemu wy, Polacy, jesteście tacy uparci, tak potwornie niereformowalni? – Pokręcił głową w geście dezaprobaty.

Kotowski wzruszył ramionami, a Francuz przeszedł momentalnie do sedna sprawy.

– Kto to jest... – w kieszeni marynarki zawieszanej na oparciu krzesła wyszperał karteczkę, założył na nos okulary wyjęte z drugiej kieszeni i przeczytał powoli – Cy-ru-lik?

Polak zmarszczył brwi, wykrzywił wargi w pogardliwym grymasie i ponownie wzruszył ramionami.

– Nie znam go zbyt dobrze – odparł. – Ale to jakiś drobny cwaniaczek, jakich pełno w środowisku. Naprawdę nazywa się Jakubik. Płotka.

– Ta „płotka” alias „drobny cwaniaczek”, jak go nazywasz, od ponad dekady podobno trzęsie całą waszą ligą. Doszły mnie słuchy z wiarygodnych źródeł, że po tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku każdy wasz mistrz piłkarski coś mu zawdzięcza, że bez kontaktów z nim nikt nie awansuje do wyższej ligi, że prowadzi jakieś nieformalne biuro spadków i awansów.

Kotowski parsknął, jakby ktoś poinformował go właśnie, że Ziemia kręci się wokół Słońca.

– Nie wiedziałem, Pierre, że z ciebie taki donkiszot. Tylko błagam, nie mów mi, że na rok przed Euro chcesz walczyć w Polsce z korupcją. Bo jeśli tak, to ja już wolę pomóc chłopakom przy budowie autostrad. Jak się pracuje kilofem, to przynajmniej są jakieś efekty.

Zaśmiał się z własnego żartu i spojrzał z zainteresowaniem na kompana. Ten zareagował natychmiast.

– Cyrulik musi zniknąć!

Ich spojrzenia zderzyły się i dłuższą chwilę trwały wzrokowe zapasy. Żaden nie chciał odwrócić wzroku. Żaden nawet nie mrugnął.

– Chyba mi nie powiesz, Pierre, że teraz w Europie się nie drukuje. Poczuję się obrażony, jeśli mi coś takiego choćby zasugerujesz.

Francuz odwrócił wzrok, a kąciki jego warg rozjechały się w rozbrajającym uśmiechu.

– Dobrze wiesz, jak jest – rzucił pojednawczo. – Ale Cyrulik musi zniknąć, bo nawet od tych spraw mamy teraz swoich, sprawdzonych ludzi i waszych prowincjonalnych cwaniaczków nie chcemy. Nie gniewaj się, Adi, ale Europa wam nawet pod względem korupcji nieco uciekła.

Roześmiali się szczerze, dając ujście nagromadzonym emocjom. Kotowski chrząknął znacząco sam do siebie, jakby mówił – a więc o to chodzi. Wziął do ręki butelkę i nalał do pustych kieliszków.

– Czyli stadiony i zaplecza w Gdańsku i Wrocławiu są w porządku? – dopytał jeszcze pół żartem, pół serio.

Blanc machnął bagatelizująco ręką.

– Jasne! Budowa stadionów to rzecz, której nie można spieprzyć, a my już na starcie zakładamy taki margines błędu i opóźnień, że nawet jak dochodzi do rozpraw sądowych o nieścistości w przetargach, to tak naprawdę nie ma wielkiego ryzyka.

Kotowski skinął automatycznie głową, bo doskonale o tym wiedział.

– A wracając do Cyrulika alias Jakubika – wrócił do tematu. – Czy ty zdajesz sobie sprawę, że mamy do czynienia z całą siecią powiązań? Tu nie wystarczy zamieść jednego gościa pod dywan... Obawiam się, że rozwalenie układów Cyrulika to będzie duża, brzydko pachnąca afera. Rozumiem, że tu też musi nastąpić wymiana, że tak powiem, na lepszy model, ale czy robienie tego dwanaście miesięcy przed mistrzostwami to na pewno dobry pomysł?

Twarz Francuza stężała.

– Lepiej by było, gdyby ten wasz piłkarski mafioso zniknął po cichu – odparł po chwili namysłu. – Skoro to taka szara eminencja, że nawet ty go słabo znasz, to chyba nie będzie problemu, żeby tę jego sieć rozwiązać bez udziału władzy i mediów. Ty wiesz, Adi, że federacja nie lubi, jak w nasz biznes włączają się obce organizacje, a szczególnie krajowe rządy.

– Będzie ciężko, może się nie udać.

– To już twoja sprawa, żeby się udało.

Kotowski spojrzał badawczo na Blanca.

– Rozumiem, że liczysz na moje kontakty? Ja mam rzucić pierwszy kamyczek tej lawiny?

– Rzucić kamyczek lawiny i jeszcze sprawić, żeby to była niema lawina.

Stuknęli się kieliszkami i zanurzyli usta w ciepłym już niczym zupa Solar De Samaniego.

Adrian Kotowski zamierzał spełnić życzenie swojego francuskiego przyjaciela. Zbyt wiele mu zawdzięczał, żeby go teraz zawieść. Gdyby nie Pierre, zobaczylibyśmy Euro jak świnia niebo, pomyślał, ważąc argumenty „za” i „przeciw” omawianej przy kolacji lawiny. Mimo trudnej rozmowy i dwóch opróżnionych butelek Solar De Samaniego długo nie mógł zasnąć. Nocował w niewielkim, ale eleganckim apartamencie jednego z hoteli. Do drugiej w nocy przewracał się z boku na bok, szukając snu w falujących załamaniach chlupoczącego łóżka wodnego. Gdy o wpół do dziewiątej zbudził go piszczący alarm telefonu, miał wrażenie, jakby ledwo zmrużył oczy. Uciszył budzik, ale nie zdążył nawet przetrzeć zaspanych powiek, gdy komórka znów zawibrowała i włączyła się przyjemna dla ucha melodyjka. Na wyświetlaczu pojawił się napis: Edmund. A ten czego chce o tej porze? – spytał retorycznie i usiadł na łóżku.

– No co tam, Mundi?

– Kurwa, Adi, sorry, że ci dupę zawracam! – Głos w słuchawce sprawiał wrażenie mocno zaniepokojonego. – Wiem, że jesteś we Francji, ale mam następne złe wieści. Sprawa jest pilna!

– No cóż, trudno – ziewnął Kotowski. – Mogę ci tylko powiedzieć, że poprzednie złe wieści właśnie wczoraj wieczorem załatwiłem i nie jest tak źle, jak twierdziliście.

– No to dobrze, dobrze, ale teraz mamy sytuację alarmową wewnętrzną!

– Co to znaczy: wewnętrzną?

– Teraz minister Krej się dojechał! Twierdzi, że ma tyle kwitów na PFP, że jeszcze latem zawiesi w chuj całą federację i naśle na nas kuratora.

Cholera, niedobrze, pomyślał Kotowski, teraz każdy będzie próbował na Euro ukręcić własny interes, a ty, chłopie, się martw i lawiruj.

– Skąd to info? – zapytał.

– Jak to skąd! Krej dzwonił i mnie poinformował łaskawie!

Kotowski westchnął ciężko.

– To dobrze – sapnął.

– Jak to, kurwa, dobrze?! – Głos w słuchawce stawał się coraz bardziej nerwowy. – Adi, czy ty się obudziłeś, czy jeszcze sobie śpisz tam, w tej Francji?

– Pomyśl, Mundek, logicznie. Czy jak chcesz strzelić kogoś w twarz i sprawić, żeby go naprawdę zabolalo, to najpierw do niego dzwonisz i mu mówisz, że go lada chwila strzelisz, czy po prostu go strzelasz? Bez ostrzeżenia.

W komórce odezwały się delikatne szумы i trzaski zakłóceń satelitarnych. Edmund myślał.

– Podchodzę i strzelam... bez ostrzeżenia.

– A pomyśl teraz jeszcze bardziej logicznie. Jeśli dzwonisz do kogoś i mu grozisz, że zęby wybijesz, to co to tak naprawdę znaczy? Że mu wybijesz?

Drugie pytanie okazało się jeszcze trudniejsze i bardziej abstrakcyjne niż pierwsze. Tym samym cisza okazała się dwukrotnie dłuższa. Edmund myślał podwójnie.

– Jesteś tam, Mundi? Myślisz?

– Myślę, myślę... czyli uważasz, że to tylko takie czcze gadanie z tym kuratorem? Że Krej chce coś ugrać tym straszaniem?

– Tak właśnie uważam.

W słuchawce znowu zatrzeszczało.

– Czemu nie powiedział wprost o co biega? – Głos Mundka wyzwolił się z nerwowych drgań.

– Bo może nie wie. Wiesz jak to jest, czasami strzela się na oślep. Pewnie mówi prawdę, że mu się od kwitów na PFP biurko ugina, ale skoro dzwonił, żeby was łaskawie o tym fakcie poinformować, to znaczy, że niekoniecznie chce z nich zrobić użytek. Jest wielce prawdopodobne, że za nierobienie z nich użytku po prostu chce coś w zamian.

Zamilkli obaj. Kotowski już rozbudzony, gotowy do wstania, Edmund wyraźnie spokojniejszy. Pomilczeli chwilę na koszt Polskiej Federacji Piłkarskiej.

– Dobra – mruknął Mundek. – Tak czy inaczej wracaj jak najszybciej do Polski. Kiedy masz samolot powrotny?

– Dwudziesta pierwsza z minutami ląduję na Okęciu.

– No i dobrze, czyli jutro rano się widzimy i zaraz gasimy ten pożar.

Kotowski odłożył komórkę na stolik i ostatecznie wyzwolił z betów. Poszedł do łazienki, żeby uwolnić pęcherz od resztek wczorajszego wina i umyć zęby. Ostatni rok przed Euro jest chyba najtrudniejszy, pomyślał, nakładając pastę na szczoteczkę, to okres, kiedy sprawy są już tak daleko zaawansowane, że nie ma odwrotu, ale jednocześnie ciągle łatwo rzucić kłodę pod tę rozpędzoną lokomotywę. Może nie uda się jej już wykoleić, ale na pewno ciągle można narobić potwornego smrodu i spowolnić jej jazdę do celu. Zbyt dużo ludzi chce przy tym europejskim ognisku upiec własną pieczeń. Przecież wprowadzenie zarządu komisarycznego do PFP to w tej chwili jedyna rzecz, która jeszcze mogłaby zniechęcić UEFA. Tego to nawet ja z Pierre'em przy najlepszym winie i najsmaczniejszej lasagne nie załatwię. Zarząd komisaryczny to byłaby katastrofa, ba, problemem mogłaby być nawet zmiana rządu! Nowy minister, nowa miotła, nowe układy...

Wypluł pastę i odkręcił kran z ciepłą wodą, aby wypłukać usta. Przeszedł go niemiły dreszcz na myśl o tym, ile jeszcze burz trzeba będzie przetrwać, żeby doczekać warszawskiego meczu otwarcia. Na razie tylko grzmi w oddali i oby żadna prawdziwa burza nie przyszła nad nasze głowy, bo przy tym całym polskim bajzlu, jaki panuje w każdej organizacji i w każdym związku, nie mielibyśmy szans. Włosi mają temperament, Francuzi finezję, Niemcy idealny porządek, dobrze, że my, Polacy, w tym naszym chorym bałaganie jesteśmy chociaż cwani. Cwaniactwem też można dużo ugrać i to cwaniactwem najlepiej walczy się z absurdalnymi kłopotami. Zaśmiał się z własnego rysu psychologicznego narodów Europy. Jakby chwilę pomyślał, znalazłby bez trudu jednowyrazową łatkę dla większości europejskich nacji, ale ta „zmiana rządu” kołatała mu się nachalnym echem w głowie.

Wytarł twarz miękkim, puszystym ręcznikiem i szybkim krokiem wyszedł z łazienki. Gdzieś tu powinienem mieć gazetę, mruknął do siebie, nurkując rękami w torbie podróżnej stojącej przy łóżku. Na warszawskim lotniku, biegnąc do sali odpraw, zdążył chwycić w locie dwa najpoczytniejsze dzienniki, ale później nawet nie miał czasu ich przejrzeć. Tkwiły teraz niemiłosiernie zmięte na dnie torby. Dogrzebał się do jednego z nich. *Czy jesienne wybory przyniosą zmianę rządu?* pytał tytuł na pierwszej stronie, a lead mniejszą czcionką sugerował: *Według najnowszych sondaży Ruch Liberalno-Demokratyczny traci, a Unia Narodowa zyskuje. Analitycy i politolodzy twierdzą, że ta tendencja może utrzymać się aż do październikowych wyborów.*

Przeleciał wzrokiem resztę artykułu, ale jego mózg niewiele zarejestrował. Myślał już o czymś innym. To muszą być wyjątkowo wiarygodne sondaże, doszedł do wniosku, odkładając gazetę na łóżko. Wstał i podszedł do niewielkiego biurka, po drodze zwijając z komody komórkę. Wybaczone, Pierre, ale ta lawina jednak nie może być niema, mruknął, wyszukując w kontaktach numer do Dariusza Kreja. Czy to wypada, żebym dzwonił do szacownego pana ministra w samym gaciach? Uśmiechnął się w duchu do własnych wątpliwości. Przecież mnie nie widzi. Jest dziewiąta, powinien odebrać, pomyślał, oczekując na połączenie. Po czwartym sygnale w słuchawce odezwał się poważny młody głos.

– Dariusz Krej, słucham.

– Dzień dobry, panie ministrze, Adrian Kotowski z PFP z tej strony.

– Witam, w jakiej sprawie pan do mnie dzwoni, panie Adrianie?

– W sprawie pilnej, ale absolutnie nie telefonicznej. Prosiłbym, żeby znalazł pan dla mnie czas, najlepiej w środę z samego rana.

– Obawiam się, że taki termin spotkania jest niemożliwy – odparł chłodno Krej. – Mam zawałony terminarz. Oficjalne spotkanie przed końcem lipca nie będzie chyba możliwe.

Kotowski poczuł rozdrażnienie.

– Ale przed październikowymi wyborami to chyba znajdzie pan dla mnie chwilę, panie Darku? – W kończących wypowiedź słowach zadźwięczała nutka złośliwości. Krej usłyszał to zdanie wyraźnie, razem z jego ironicznym podwójnym dnem.

– A mógłby pan, panie Adrianie, choć w dwóch słowach napomknąć, o co chodzi?

– Chodzi o kilka punktów procentowych dla pana partii.

Minister chrząknął znacząco.

– Czy termin w środę o dziewiątej rano...

– Tak, do zobaczenia.

Kotowski nie czekał na reakcję Kreja. Rozłączył się i ze świstem wypuścił powietrze z płuc. Dostaniecie korupcyjnego kozła ofiarnego na talerzu i mam nadzieję, że dacie nam spokojnie pracować do mistrzostw. Pierre zrozumie, że lepiej nagłośnić lawinę, niż kopać się po czole z kuratorem.

Zagrał na dwa na fronty jak wytrawny tajny agent. Mógł spokojnie dokończyć poranną toaletę.

### 3.

*Warszawa, gabinet ministra sportu Dariusza Kreja*

W przestronnym, nowocześnie umeblowanym gabinecie ministra sportu panował porządek. Dariusz Krej siedział dumnie wyprostowany przy olbrzymim biurku, na którym mieścił się tuzin niezbędnych sprzętów i stosy papierów, a mimo to można by na nim położyć jeszcze wysoką sekretarkę tak, aby nie zrobić bałaganu. Byłoby to teoretycznie możliwe, ale takie rzeczy dzieją się tylko w filmach porno klasy B. W rzeczywistości sekretarki raczej nie kładą się na biurkach nawet najwyższych urzędników. Krej czasami zastanawiał się, z czego to wynika, ale po długim spotkaniu z Adrianem Kotowskim takie drobiazgi nie zaprzętały jego głowy. Jeszcze wczoraj chciał, aby na biurku przed nim, zamiast stosu papierzyk, leżała ta kurka – okularnica z sekretariatu. Dziś nie zamieniłby na nią tych teczek, które dostarczył mu popularny Adi.

Warto było wykonać telefon ostrzegawczy do Edmunda Stolarza. To był strzał w ciemno. W dodatku samowolka. Gdyby premier wiedział o tej desperackiej akcji, Krej mógłby nawet stracić ministerską tekę. I tak przecież nie mogli zainstalować w PFP kuratora. Społeczeństwo i media nie wybaczyłyby sparaliżowania federacji odpowiedzialnej za organizację jednej z najważniejszych imprez sportowych, wyczekiwanych od lat piłkarskich mistrzostw, które trafiły się Polsce niczym ślepej kurze ziarno. Krej doskonale o tym wiedział. Ale wiedział też, że warto do piłkarskiego ogródka wrzucić gorącego ziemniaka, zaryzykować i zobaczyć, co się wydarzy. No i się wydarzyło.

Mój gorący ziemniak okazał się kamyczkiem inaugurującym lawinę, pomyślał z satysfakcją, przypominając sobie niedawną rozmowę z Kotowskim. To wtedy padło określenie „lawina”, które bardzo się Krejowi spodobało. Ale jeszcze bardziej spodobały mu się opowieści Kotowskiego i niepozorna szara dyplomatka, którą ze sobą przyniósł. Znalazł w niej zestaw kontaktów i spisów. Listę kilku meczów polskiej ligi piłkarskiej, których wyniki na pewno nie stanowiły naturalnej konsekwencji boiskowej bieganiny. Listę nazwisk kilku piłkarzy, którzy



nie zawsze dawali z siebie wszystko i którym zdarzało się grać do niewłaściwej bramki. Listę kontaktowych numerów telefonicznych do „pewnych świadków, którzy się nie wyprą” (to słowa Kotowskiego).

Teczka w gruncie rzeczy nie należała do najgrubszych. Ot, kilka świstków sugerujących, że polska piłka to teatrzyk absurdu. Najważniejsze było jednak to, że Kotowski wyraźnie wskazał reżysera tego teatrzyku. Do teczki włożył też dokument świadczący o złożeniu doniesienia do wrocławskiej prokuratury. Jak ci dwaj piłkarze dali się namówić na oficjalną skargę do władz? To przecież koniec ich karier. Tego Kotowski nie chciał wyjaśnić. Nieważne. Ważne, że te niepozorne karteczki to stryczek na szyi Zdzisława Jakubika, człowieka „cienia”, człowieka „instytucji”, szefa „piłkarskiej mafii” ustawiającej mecze.

Cyrulik, ta ksywa obijała mi się o uszy już jakiś czas temu, mruknął pod nosem Krej, kolejny raz przeglądając prezent od Kotowskiego. Wygląda na to, że trafiłem kijem w mrowisko, uśmiechnął się trochę do siebie, a trochę do kartki z zeznaniem wrocławskiego, drugoligowego piłkarza. *Przyjąłem sumę w wysokości dwóch tysięcy złotych za niepełne zaangażowanie się i sprokurowanie rzutu karnego... pieniądze przekazał mi kierownik drużyny przeciwnej... zgodnie z umową, mecz przegraliśmy...* Pod spodem podpisy, pieczętki wrocławskiej prokuratury, dzisiejsza data. Minister wcisnął przycisk w telefonie stacjonarnym. Po chwili w drzwiach stała sekretarka o długich, zgrabnych nogach modelki, ale przeciętnej twarzy przytłoczonej kiepsko dobranymi okularami w stylu podstarzałej bibliotekarki.

– Słucham, panie ministrze.

Zerknął w jej stronę, nie zatrzymując na niej wzroku. Nadal przeglądał papiery.

– Bardzo proszę skserować te dokumenty. – Podał jej jeden ze skoroszytów i teczkę od Kotowskiego. – I kawkę.

Podeszła i wzięła dokumenty. Chciał uśmiechnąć się uwodzicielsko, ale tylko niezgrabnie się wykrzywił. Był fatalnym adoratorem. Sekretarka skinęła głową i skierowała się do drzwi. Począł, aż wyjdzie, i sięgnął po słuchawkę. Wcisnął przycisk z czerwoną kontrolką. Już nie mógł się doczekać, kiedy przekaże gorące, dobre wieści premierowi.

#### 4.

#### *Poznań, mieszkanie Zdzisława Jakubika*

Dzień nadchodził opornie. Nie mógł przebić się przez dubeltową warstwę ciemnoniebieskich chmur. Dochodziła szósta, a mimo to ciągle panował półmrok. Zdzisław Jakubik spał źle. Sen miał krótki i płytki, niczym męczący letarg. Ktoś mógłby powiedzieć, że to złe przecucia targały nim, nie pozwalając zasnąć, ale Jakubik nie należał do osób dopuszczających przecucia do głosu. Rzadko miewał jakiegokolwiek przecucia. Wierzył tylko w to, co widział i czego mógł dotknąć. Tym bardziej niepokoiły go nieznanne dotychczas wizje „nieokreślonego kresu”. Nawiedzały go całe lato i były tak nowe, i tak dziwne, że Jakubik nie potrafił ich nazwać. Nie wiedział nawet, czy to wizje, czy przecucia, czy może zwykły,

niemal zwierzęcy lęk przed śmiercią. Na karku pojawił mu się bowiem siódmy krzyżyk. Tak czy inaczej, po prostu czuł się źle. Znajomy lekarz tylko wzruszył ramionami na dźwięk mętnych opowieści Jakubika o „nieokreślonym kresie”. Mogę ci przepisać coś lekkiego na uspokojenie, żebyś lepiej sypiał, powiedział, klepiąc go przyjaźnie w ramię. Przepisał, ale działało połowicznie, tylko co drugą noc.

Nękający letarg ani myślał odpuścić, tak jak noc uparcie królująca za oknem, mimo że jej czas minął już i według wskazówek zegara powinna ustąpić. Cały świat utknął między dniem a nocą, życiem a śmiercią. Czyściec. Ten stan nie może trwać wiecznie.

Głuche, agresywne dudnienie wyrwało go z letargu dwie minuty po szóstej. Usiadł na łóżku, nie wiedząc, co nieprzyjemny dźwięk oznacza i skąd się dobywa. Dopiero głośniejsza powtórka wyjaśniła sprawę. Nieproszony gość dobijał się do drzwi. Zjebie kogokolwiek by tam niosło, pomyślał wsuwając rękę w rękaw szlafroka.

– Co to? – Półprzytomna Celina Jakubik spoglądała niewidzącymi oczami.

– Nie wiem. Zjebie gnoja i zaraz wracam.

Gołą stopą zlokalizował kapcie i poczłapał długim korytarzem do drzwi. Zaniepokoił go szmer rozmów na klatce. Kilka głosów – spokojnych, ale stanowczych. To nie był nadgorliwy dozorca ani nowy listonosz, a już na pewno nie chłopiec z ulotkami. Zerknął przez wizjer. Za drzwiami stało czterech panów o posępnych, czujnych twarzach. Jeden z nich zwinął dłoń w pięść i po raz trzeci wyraził ochotę widzenia się z gospodarzem, dobijając się do drzwi.

Wraz z myślą, że to właśnie „nieokreślony kres” stoi pod drzwiami jego mieszkania, przysłała fala gorącej krwi. Uderzyła mu do głowy i zamroczyła na kilkanaście sekund. Poczuł, jakby w jego mózgu włączył się jakiś nowy kanał, nieznanym dotychczas program rozumowania. CBA. Nawet nie wiedział skąd zna ten skrót. Nie interesował się polityką, agencjami rządowymi i pozarządowymi. Nigdy nie miał z nimi nic wspólnego. Agentów widywał tylko w amerykańskich filmach, ale reprezentowali oni mityczne FBI albo CIA. Mieli twarze hollywoodzkich gwiazdorów, marynarki od Armaniego, buty od Gucciego, a gdyby telewizory transportowały zapachy, pewnie pachnieliby perfumami od Dolce Gabbana. Ci za drzwiami byli szarzy, smutni i brzydki, ale jakiś wewnętrzny głos podpowiadał Jakubikowi, że właśnie tak muszą wyglądać agenci Centralnego Biura Antykorupcyjnego. Z ich twarze, teraz upiornie zdeformowanych wizjerem, emanowały spokój, skupienie i zwierzęca przebiegłość. Wyczuli, że stoi przy drzwiach.

– Pan Zdzisław Jakubik?! – padło agresywne, stanowcze pytanie.

Chciał odpowiedzieć. Nabrał powietrza, aby krzyknąć poirytowanym głosem, że nie życzy sobie nachodzenia o tak wczesnej porze. Wypuścił powietrze, ale żadne słowa nie wyfrunęły. Serce waliło jak młotem.

– Proszę otworzyć drzwi! – gość prosił tonem przypominającym żądanie.

Najpierw łańcuch, później zamek górny i dolny, na koniec klamka. Prośba została spełniona serią płynnych, automatycznych ruchów. Stanęli twarzą w twarz. Nowy kanał rozumowania przejął absolutną kontrolę. Jakubik poczuł, że zalewa go fala gorącej, mętnej wody, stracił władzę nad wydarzeniami, nad własnym ciałem i umysłem. W tym, co działo się od tego momentu uczestniczył już tylko jako obserwator. Padały jakieś pytania – o broń, o dokumenty, o inne osoby przebywające w mieszkaniu. Odpowiadał na nie automatycznie, całą prawdę i tylko prawdę. Czterech porannych gości przepchnęło się bezceremonialnie do mieszkania, trzech z nich zaczęło buszować po pokojach, przetrząsać szuflady i biurka. Rozpoczęli festiwal fruujących papierów, teczek i ciuchów. Czwarty został przy gospodarzu, mówił coś o jego prawach, że ma się ubrać i że pojedą... ale dokąd? Do Wrocławia. Czemu akurat do Wrocławia, tego nie wyjaśnił. Jego pytania były ważniejsze, wyjaśniać miał Jakubik. Gdzie są telefony komórkowe? Numery kontaktowe do współpracowników! Czy mogę zadzwonić do adwokata?, udało mu się wtrącić. Może pan, ale później. Wszystko działo się jak na filmie odtworzonym z opcją przewijania na podglądzie.

– Zdzisiek! – Histeryczny, pełen troski głos żony wyrwał Jakubika z otępienia, gdy był już w salonie, umęczony setką pytań i setką udzielonych na nie odpowiedzi. Podała mu ubranie. Z trudem wyłaził ze szlafroka, siedząc na skórzanej kanapie. W całym mieszkaniu panował rwetes. Smutni panowie okazali się bardzo energiczni, śmigali po pokojach jak precyzyjnie zaprogramowane roboty. Nie umknęło im żadne pomieszczenie, żaden zakamarek, żadne biurko, żadna szuflada. Jeden zaglądał nawet pod dywan i do wnętrza niewielkiego tapczanu stojącego w pokoju gościnnym.

– Boże, człowieku! Przecież tam są tylko filiżanki! – Celina Jakubik podbiegła do jednego z funkcjonariuszy badającego wnętrze przeszklonego kredensu. Ten grzecznie, acz stanowczo przesunął ją na bok z poleceniem nieprzeszkadzania.

– Są teczki z jakimiś papierami – rzucił jeden z agentów, wchodząc do salonu.

– Dobra. Jak masz teczki, które już z zewnątrz wyglądają ciekawie, to zawijaj. Całą resztę zabezpiecz, łącznie z szafą, szufladą, biurkiem czy gdzie tam to znalazłeś – rozkazał szef ekipy, grzebiąc we własnej torbie i wykładając na stół kolejne papiery. Jeden z nich podsunął pod nos Jakubikowi.

– Tu pan podpisze. – Wskazał miejsce.

Jakubik podpisał dokument i opadł bezwładnie na oparcie kanapy. Westchnął ciężko i poczuł, jak strużka potu spływa mu spod lewej pachy w kierunku biodra. Spuścił powieki, chciał zniknąć lub obudzić się w innym miejscu i innej sytuacji. Może to ciągle ten upiorny letarg, a może jednak zasnął z samego rana, aby wyśnić ten koszmar. Chciał chociaż wyobrazić sobie, że to wszystko nieprawda, ale nawet wyobraźnia spłatała mu złośliwego figla. Przedstawiła zabawną animację. Ujrzał neonowy billboard z własnym nazwiskiem, z którego zniknęły ostatnie literki, jedna po drugiej, począwszy od „k”. Zdzisław J. Tak się teraz nazywał. Szczęk zapinanych kajdanek na nadgarstkach zakończył animację i wyrwał go z przykrego otępienia. Obok kanapy stało już dwóch umundurowanych policjantów, którzy tymczasem weszli do mieszkania.

– Zaprowadźcie go do samochodu! – Głos i ton głównego agenta nie znosiły sprzeciwu.

5.

*Łódź, dom sędziego Macieja Bojarskiego*

Jaskrawe promienie słońca atakowały przez szybę, a mimo to dzień nie zachęcał do aktywności. Był nieprzyzwoicie gorący i suchy. Sędziemu Maciejowi Bojarskiemu potwornie nie chciało się wstawać. Poprzedni dzień zachęcił go do aktywności zbyt mocno, szczególnie wieczorem, co sprawiło, że kameralne spotkanie z kompanami od kieliszka przeistoczyło się w sporą bibę i przeciągnęło niemal do rana. Gdy wrócił do domu, zegarek pokazywał czwartą, a on był tak zmęczony, że runął na łóżko, zapominając o wszystkim, co ważne. Poczawszy od zdjęcia spodni, przez umycie zębów, aż po zadbanie o to, aby rano przy łóżku czekała na niego butelka wody. Kac przecież musiał nadejść. Zapomniał też o wyłączeniu budzika w komórce. Gdyby to zrobił, nie musiałby teraz gramolić się przez całe wielkie łóżo, aby go uciszyć. Po krótkiej szamotaninie z kołdrą dopiął swego i westchnął umęczony tą pierwszą tego dnia aktywnością.

Poleżę jeszcze chwilę, zdecydował, ale nie zamykał już oczu. Faktycznie, brak tu kobiecej ręki, pomyślał, przyglądając się rozświetlonej szybie, na której oprócz miliarda świetlnych refleksów dało się dostrzec smugi – pozostałość nieudolnego mycia. Matka zawsze powtarzała, że dom, nawet najpiękniejszy, bez kobiety jest kaleki, pusty, zimny i zabałaganiony. Bojarski słuchał tych wywodów z mieszaniną irytacji, znudzenia i politowania. Kobiety są przede wszystkim generatorami problemów, często niemal etatowymi. Niedomyte szyby to najniższy wymiar kary za trzymanie kobiet z dala od domu. Tak uważał, ale nigdy by tego matce nie powiedział. Jako trzydziestopięcioletek bez żony i stałej partnerki jest dla niej i tak starym kawalerem, mimo że takiego określenia chyba nie ma już we współczesnych słownikach poprawnej polszczyzny.

Chciał wylegiwać się do południa, ale organizm domagał się wody. Wstał niechętnie i poszedł do łazienki. Letnim prysznicem zmył z siebie całe poranne zmęczenie. Woda uwolniła jego umysł od natłoku galopujących myśli i ciało od lepiałego potu. Jeszcze tylko kawa i dzień może się rozpocząć. Przechodząc przez salon, minął regał ze starannie poustawianymi płytami DVD. Zawsze lubił, niby mimochodem rzucić okiem na swoją okazałą filmotekę. Napawała go dumą. Miał około dwustu płyt, tylko dobre i mocne rzeczy. No, oprócz kilku nietrafionych prezentów od znajomych, którzy wiedzieli, że lubi kino, ale nie wzięli pod uwagę tego, że wyłącznie najwyższej jakości. Dawali mu więc szmirę „dla prawdziwych mężczyzn”, jakieś popłuczyny z Segalem czy innym Van Damme'em. Nie wyrzucał, bo szanował płyty. Wszystkie. Nawet te, które miały pecha i nosiły na sobie gówniane filmy. Nie wybierał gatunków, kierował się wyłącznie jakością. Allen, Wajda, Buñuel, Tarantino, Kubrick, Kieślowski, Machulski... Ale najbardziej cieszył go zbiór filmów Romana Polańskiego. *Dziecko Rosemary* traktował niczym filmową biblię. Znał ten film na pamięć, scena po scenie, dialog po dialogu, gest po geście. Widział go sto razy, ale nadal chętnie do niego wracał, bo ciągle odnajdywał w nim coś, czego wcześniej nie dostrzegał.

Kuchnia przywitała go wczorajszym bałaganem. Na szafkach piętrzyły się brudne garnki i talerze, które gdyby mogły mówić, i tak nic by nie powiedziały. Już kilka dni temu zdarłyby gardła błaganiami o przeniesie do zmywarki. Bojarski rzucił ręcznik na oparcie kuchennego krzesła, na którym leżały od wczoraj sportowe spodenki. Ubrał się i wyszedł do kiosku, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Lubił, gdy mógł wyjść z domu tak jak się stoi – w spodenkach, podkoszulku i klapkach na gołych stopach. Często świadomie nie zamykał nawet zamka, żeby spotęgować uczucie absolutnej wolności i swobody. Wiele nie ryzykował. Najbliższy sklep i kiosk znajdowały się raptem czterysta metrów od jego willi. Czasami miał wrażenie, że te dwa miejsca, w których robił zakupy, są przedłużeniem jego domu.

– Dzień dobry, panie sędzio! Ostała się, jest jedna sztuka – oznajmił uśmiechnięty kioskarczyk, podając pachnący drukarnią numer „Kuriera Piłkarskiego”.

Bojarski położył odliczone dwa dwadzieścia na plastikowej podstawce na drobne i odebrał przez okienko zwiniętą gazetę. Nie miał w zwyczaju przeglądania jej przy kiosku, chował ją pod ramię i szedł do domu na spokojną lekturę. Tym razem jego wzrok zarejestrował coś, co zmusiło go do zmiany tego rytuału. Na pierwszej stronie, tuż pod nagłówkiem, mignął mu wytłuszczony napis „Cyrulik”. Tego tam nie powinno być, pomyślał, rozwijając gazetę. Dziękując, rzucił jeszcze do kioskarczyka, który życzył mu miłego dnia. *Cyrulik zatrzymany!*, krzyczał tytuł na pierwszej stronie „Kuriera Piłkarskiego”. Poniżej umieszczono zdjęcie Zdzisława Jakubika, teraz już Zdzisława J., z wiele mówiącym czarnym paskiem na oczach. *Start sezonu w cieniu skandalu! Czy polska liga jest drukowana?*, uwagę przykuwały kolejne stwierdzenia. Kurwa, jęknął pod nosem Bojarski, po czym rozejrzał się nieufnie po pustej osiedlowej uliczce. Zrobiło mu się gorąco, bardziej niż wskazywałyby na to słupki rtęci w rozgrzanych termometrach. Poczuł nieprzyjemne ukłucie w mostku, sygnalizujące tak rzadko odczuwany niepokój. Zwinął gazetę w niechlujny rulonik i szybkim krokiem udał się do domu. Ten dzień nie mógł zacząć się gorzej.

## 6.

### *Wrocław, budynek prokuratury*

Pokoik był niewielki, jak niektórzy mawiają, gabarytów znaczka pocztowego z urwanym rogiem. Urządzony oszczędnie – biurko, trzy krzesła i zachlapany stolik pod ekspres do kawy i elektryczny czajnik. Niewiele tego, ale i tak było ciasno. Przez duże, na oścież otwarte okno przedzierały się promienie słońca, rozświetlając brzydka, jasnoniebieską ścianę. Pierwsza noc we wrocławskiej niewoli minęła Jakubikowi zadziwiająco szybko i bezboleśnie. Nigdy nie zdarzały mu się dwie złe noce z rzędu. Tym razem spał więc dobrze. Rankiem przeprowadzono go tu, do pokoiku zwierzeń, gdzie o dziewiątej mógł spotkać się z adwokatem. Ta rozmowa miała mu wreszcie wyjaśnić, na czym stoi i jakie są jego szanse na wygrzebanie się z tego bagna. Wyjaśniać miał młody mecenas Michał Adamski, przewijający się w szerokich kręgach znajomych Jakubika od kilku lat. Kiedyś startował nawet do jego córki, ale dostał kosza. Jakubik lubił Łysego – jak go nazywali z powodu absolutnego braku owłosienia na głowie – za bezczelną przebojowość, która emanowała z jego ruchów, gestów, mimiki twarzy i ogólnie całej postawy. Przebojowość na przekór. Był brzydki, niski i mimo

młodego wieku już otyły, ale na każdym kroku dawał jasno do zrozumienia, że ma to głęboko w dupie.

Mam to głęboko w dupie, warknął kiedyś do jednej z prostytutek Jakubika, która nawet za pieniądze nie chciała z nim pójść do wynajętego pokoju hotelowego. Nie ma ceny dla takiego prosiaczka, usłyszał, gdy wykladał pieniądze na stół. Dziewczyna pozostała nieugięta, mimo że nawet sam Cyrulik groził jej swoim grubym paluchem. Z prosiaczkiem nie pójdę i koniec tematu, upierała się. Adamski odpuścił. Miał to głęboko w dupie. Jakubikowi imponowało takie podejście do życia, zresztą było mu bliskie i tylko zachodził w głowę, jak to się stało, że brzydki mecenas uniknął ksywy „prosiaczek”. Nikt nigdy nie odważył się go tak nazwać, mimo że świadków zabawnego incydentu z prostytutką nie brakowało.

Teraz, czekając na spotkanie, liczył na tę jego adwokacką arogancję. Wyobrażał sobie, jak Łysy wejdzie tu zamasyście z rozwianą marynarą i powie: miej to w dupie, Zdzichu!

– Ależ się, Zdzichu, w chuj załadowałeś – jęknął już od progu pokoiku zwierzeń mecenas Adamski, dwie minuty po dziewiątej. Był biały jak papier kredowy, przez co jeszcze brzydszy, a i jego dynamika gdzieś się ulotniła. – Na razie niewiele wiem. W odróżnieniu od nich. Oni wiedzą dużo. Mogę ci tylko poradzić, żebyś nie ułatwiał im sprawy. Odpowiadaj na pytania zdawkowo, na te, na które się da, nie odpowiadaj wcale. Nasza linia obrony na tę chwilę wygląda tak, że wszyscy w środowisku czasami kupowali i ustawiali mecze, i ty, jako kierownik Orła Pniewy też czasami to robiłeś, czego bardzo żałujesz. Nic innego na siebie nie bierz. Piłkarska mafia i ty, jako Cyrulik w roli jej szefa, to mit, wymysł pismaków!

– Nie ma szans na jakąś kaucję? – wymamrotał Jakubik rozczarowany słowami Adamskiego.  
– Kurwa, liczyłem, że mnie stąd wyciągniesz. A ty mi tu wyjeżdżasz, że oni dużo wiedzą, więcej od nas. Jak to możliwe?!

Łysy spojrzał na Jakubika z politowaniem.

– Zdzisiek... to nie jest sprawa o wybicie witryny sklepowej w Pniewach. Ja dzisiaj popołudniu muszę się zameldować w Warszawie. Mam słodkie tête-à-tête z Krejem. Czaisz, kurwa?! Z ministrem Krejem! Twoim interesem rząd się zainteresował, podobno z premierem Dafińskim na czele. A ty, Zdzichu, wiesz, że jak kaczor się przypieprzy, to nie ma to tamto.

– O czym ty do mnie rozmawiasz?

– Rozmawiam do ciebie o tym, że to gruba afera! Grubsza niż ci się wydaje! RDL traci w sondażach, a wybory za kilka miesięcy...

– Co to ma ze mną wspólnego, przecież wiesz, że się polityką nie interesuję, do kurwy nędzy!

– No to ona się właśnie tobą zainteresowała. Słyszałeś o dopalaczach?

– Coś tam słyszałem. Dzieciarnia wpierdala jakieś tabletki i...

– A wiesz, że Dafiński sklepy z tym gównem pozamykał w całym kraju?

– No wiem, ale co to ma...?

– Myślisz, że premier naprawdę tak bardzo martwi się o żołądki i umysły jakiejś grupki porąbanych dzieciaków, które się trują pigułkami?

– No co ty, pewnie ma to w dupie.

– Ma to głęboko w dupie, tak jak ma głęboko w dupie czystość rozgrywek piłkarskich. Ale potrzebuje spektakularnych akcji ukazujących go w oczach społeczeństwa jako białego rycerza zabijającego smoki! Ta głosująca gawiedź wychowana na amerykańskim kinie akcji z Bruce'em Willisem uwielbia takie zagrywki. Najpierw rozprawił się z dopalaczami, teraz zajmie się korupcją w piłce. I to na rok przed Euro! Nie ma lepszego momentu na taką pokazówkę!

– Czyli to polityczna ruchawka?

– Na to, Zdzichu, wygląda.

## 7.

*Warszawa, mieszkanie dziennikarza Marcina Farona*

Światło w pokoju świeciło się niepotrzebnie. Promienie słońca za oknem rozgościły się już na dobre. Dochodziła szósta. Marcin Faron po raz ostatni omiół wzrokiem swój artykuł. Okej. Kliknij zapisz, załącz, wyślij. Poszło. Zerknął na facebookową tablicę. Zastój. Nic się już – albo raczej jeszcze – nie działo. Wziął łyk zimnej herbaty. Pisząc artykuł, zapominał o herbacie. Pisząc dwa artykuły, zapominał o posiłku. Gdy pisał dwa artykuły, a jednym okiem śledził jeszcze transmisję meczu, zapominał o całym bożym świecie. W jednej z książek Jonathana Carrola przeczytał kiedyś, że w dzisiejszych czasach trzeba biec dwa razy szybciej, aby móc pozostać w tym samym miejscu. Faron uderzyły te słowa, tym bardziej że on nie chciał zostać w tym samym miejscu. Chciał wystrzelić do przodu. Doszedł do wniosku, że musi biec trzy razy szybciej. Starał się, jak mógł. Z różnym skutkiem. W liceum się rozpędzał, studia wziął już sprintem. Gdy na czwartym roku złapał pół etatu w dzienniku „Kurier Piłkarski”, doszedł do wniosku, że warto było zasuwać. Nie dosypiać, nie dojadać. Że życie jako nieustanny bieg na czterysta metrów przez płotki ma swój sens i warto się tego sensu trzymać. Nie tylko biegł dalej, ale także wskoczył na jeszcze wyższe obroty.

W redakcji nie było misji, której by się nie podjął. Nie miał problemu z dostarczaniem nawet dwudziestu tekstów tygodniowo. Mocna kawa, napój energetyzujący, płyta The Mars Volta, kolejna zarwana noc. Kliknij zapisz, załącz, wyślij. Minęła szósta. Nie było sensu kłaść się do łóżka. Spotkanie redakcyjne rozpoczynało się za dwie godziny. Wezmę prysznic, zrobię kawę i walę do redakcji, zaplanował, wyłączając komputer. Podszedł do wieży, wcisnął Play. Głośniki rozjazgotały się nerwowymi, rozedrganymi dźwiękami piosenki *Aberinkula* z płyty *Bedlam in Goliath*. Prysznic, kawa i The Mars Volta. Sen umyka jak diabeł przed święconą wodą.

Faron i tak się spóźnił. Wpadł zdyszany do głównej sali redakcyjnej dwadzieścia minut po ósmej. Rzucił na wejściu – sorry, korki – i usiadł na wolnym krześle. Miał szczęście, bo mało kto zwrócił na niego uwagę. Między naczelnym a dwoma starszymi dziennikarzami trwała

zażarta dyskusja. Zdania na temat możliwości zawieszenia rozgrywek ligowych były podzielone.

– Jeśli afera zatoczy tak szerokie kręgi, jak się dziś wydaje, że może zatoczyć, to liga w ogóle nie wystartuje! – gorączkował się jeden z dziennikarzy.

– Wystartuje, wystartuje, spokojna twoja rozczochrana! – Machnął bagatelizująco redaktor Jackiewicz. – Jeszcze tak nie było, żeby jakoś nie było.

– Ale redaktorze, przecież lada chwila może się okazać, że wszystkie kluby są umoczone i nie będzie komu grać! Całą ekstrakligę trzeba będzie zdegradować.

Przez gabinet przetoczyła się fala pojedynczych śmiechów, kpiących potakiwań i zaprzeczeń. Faron orientował się powoli w temacie. Zespół redakcyjny maglował wątek zatrzymania Zdzisława Jakubika, szumnie określanego mianem szefa piłkarskiej mafii. Marcin niewiele o nim wiedział. Temat futbolowej korupcji raczej odsuwał od siebie, bagatelizował, jak bagatelizuje się skutki uboczne działania leków podane w ulotkach.

– Spokojnie, panowie, nie dajmy się zwariować – zaapelował głośno Jackiewicz. – Liga wystartuje, cokolwiek by się działo. Tam są wpompowane zbyt wielkie pieniądze, należące do zbyt wielu ważnych ludzi, którzy za żadne skarby nie zgodzą się na zatrzymanie karuzeli. Musiałby się rząd włączyć, żeby...

– No to właśnie się włączył! – jeden z dziennikarzy nie ustępował. – Całą akcję antykorupcyjną podobno rozpętał sam premier. Daleki jestem od czarnowidztwa, ale w gruncie rzeczy rząd, gdyby się uparł, mógłby wkroczyć do akcji i zawiesić rozgrywki.

– Nie ma takiej opcji – upierał się naczelny. – Fakt, źródło akcji jest w rządzie, stoi za tym premier, ale pomyślcie panowie logicznie, po co on to zrobił? Żeby podnieść słupki, bo ostatnio sondaże polecały mu na łeb na szyję! Potrzebował głośnej akcji, żeby pokazać ludziom, że działa, i to odważnie, że nie boi się ruszyć nawet najbardziej zatwardziałego betonu. Ale wszystko co można było zrobić, żeby na tej historii odnieść korzyść sondażową, już zrobił. Dalsze kroki to już mielizna. Ludzie lubią ataki na krętaczy i kombinatorów, ale nie lubią, jak się im odbiera coś, bez czego nie mogą żyć. A prawda jest taka, że pół miliona Polaków śledzi rozgrywki piłkarskie i większość z nich nie wyobraża sobie weekendu bez rytualnego utyskiwania na słabość rodzimej ligi, na pomyłki sędziów, na brak goli, niską frekwencję, zły skład ulubionego klubu. Jesteśmy takim narodem. Lubimy pomarudzić, ale jak nam zabierają nasz ulubiony powód do marudzenia, to szybko łapiemy za szabelki. Jeśli więc Dafiński poszedłby za ciosem, to słupki zamiast poszybować do góry, polecałyby jeszcze kilka punktów w dół.

Rozumowanie naczelnego trafiało do podwładnych. Jeszcze kręcili przecząco głowami, ale powoli tracili argumenty.

– Liga ruszy na bank – kontynuował redaktor. – To jedno. Ale sprawa Cyrulika to drugie. Mamy więc dwa ważne, stałe tematy. Przez najbliższe miesiące dział krajowy będzie je wałkował. Na zachętę powiem tylko, że numer z poniedziałku, w którym dołożyliśmy „skarby



kibica”, rozszedł się w stu pięćdziesięciu tysiącach egzemplarzy, a numer z Jakubikiem na okładce znalazł dwieście pięćdziesiąt tysięcy nabywców. Ludzi to interesuje i musimy o tym pamiętać. Czytelnicy z kolei będą pamiętać, że to my pierwsi o tym napisaliśmy, i to u nas w najbliższym czasie będą szukać dalszych informacji na ten temat.

Redakcyjna burza mózgów trwała jeszcze pół godziny, po czym Jackiewicz rozdzielił zadania zespołowi. Faron zadania nie otrzymał. Przyjdź do mnie do gabinetu za jakąś godzinkę z minutami, usłyszał młody dziennikarz i kiwnął głową, że przyjął do wiadomości. Około dziesiątej zapukał do pokoju rednacza, zza drzwi dobiegło go stanowcze – wejdź! Wszedł i usiadł na krześle przy biurku. Jackiewicz rozmawiał przez komórkę. Mówił, że dużo pracuje, że już go tak nie dławi i że obiecuje pojechać na te ryby, ale jeszcze nie w tym miesiącu. W kącie gabinetu stała mikrowieża, z mikrogłośnikami, z których Krzysztof Cugowski zapewniał, że do tanga trzeba dwojga.

– Zdzwonimy... tak, dzwoniemy się... na pewno – redaktor kończył rozmowę. – I nawzajem, do usłyszenia!

Odłożył komórkę na biurko.

– ...tak ten świat złożony jest... – zanucił koślawo za Cugowskim, mijając się z tonacją. – Lubisz Budkę Suflera? – zagaił, biorąc do ręki jakieś papiery, chwilowo nie patrząc na swojego rozmówcę.

– Lubię, ale wolę Comę – odparł szybko Faron.

Jackiewicz osłupiał, odłożył papiery, zdjął okulary z nosa i spojrzał na młodego podopiecznego.

– Lubisz Budkę Suflera?! Przecież to dinozaury, muzyka mojej młodości.

– Mój stary... znaczy się, mój ojciec katował mnie ich płytami od dziecka. Były tylko dwa polskie zespoły, których słuchało się u mnie w domu, Budka i SBB. No i Niemen. Poza tym chodzili tylko Anglicy. Pink Floyd, King Crimson, Genesis. Tamta muzyka to była obsesja mojego ojca. Zresztą nadal jest.

– Twoją obsesją też są Anglicy. – Naczelnny uśmiechnął się zawadiacko. – Arsenal, Manchester United, Liverpool...

Faron odwzajemnił uśmiech półgębkiem. Na ostatnim roku studiów napisał książkę biograficzną *Czerwone diabły z teatru marzeń*. Od tamtej pory nie mógł uwolnić się od pytań o angielską piłkę.

– Ostatnio mam z tobą sporo problemów – redaktor zmienił ton.

– To znaczy?

– Robisz dziesięć rzeczy naraz. Niestety, po łebkach...

– A konkretnie?

– Przysyłasz coraz więcej materiałów, ale ich jakość nie idzie w parze z ilością. Im więcej, tym słabiej. Poruszasz banalne tematy, a jak już znajdziesz coś ciekawszego, to prześlizgujesz się po sprawie, gubisz niuanse, pomijasz ważne szczegóły. Wywiady, których ostatnio przeprowadzasz dziesiątki, są nudne jak flaki z olejem. Rozumiem, że piłkarze nie są najwdzięczniejszymi rozmówcami na świecie, ale twoje pytania czasami przypominają jakąś cholerną ankietę z pism dla nastolatków. Czekam, kiedy zaczniesz pytać ich o ulubiony kolor i potrawę.

Faron miał zamęt w głowie. Starał się zachować kamienną twarz, ale czuł, że nerwowo drży mu policzek. Noga podskakiwała, jakby złośliwy chochlik siedzący na zyrandolu pociągał ją za sznurek.

– Myślałem, że pracujemy w dzienniku i że ważne jest tu tempo pracy.

– Bo jest ważne, ale ty, Marcin, się zagalopowałeś. Według twojego ostatniego sprawozdania meczowego w wyjściowym składzie Sławy znalazło się dwunastu piłkarzy. Z kolei ich rywali było dziesięciu. Poza tym literówki. To jakaś plaga! Chłopaku, czy ty czasami sprawdzasz, co piszesz?

Sprawdzał, ale nie odpowiedział na to pytanie. W tym przypadku faktycznie robił po łebkach. Zawsze wołał rozpocząć pracę nad kolejnym artykułem, niż skanować już napisany tekst w poszukiwaniu zgrzytów stylistycznych i literówek.

– Marcin, to się musi zmienić!

– Rozumiem, postaram się.

Noga Farona punktowała, jak u perkusisty punkowej kapeli.

– Nerwowy jakiś jesteś. – Naczelny zatrzymał wzrok na jego nodze.

– Za dużo kawy, za mało snu.

– Ogarnij się, chłopaku, bo się zajedziesz – skarcił go po ojcowsku. – Daję ci dziesięć dni urlopu, a później zobaczymy...

8.

*Wrocław, gabinet prokuratora*

– Dobra, zróbcie ten podział na listy – szepnął prokurator Jerzy Misztur, przerywając przeciągające się milczenie. Starał się mówić cicho. Nie chciał, żeby staranny masaż obolałych skroni poszedł na marne. Mecenat Adamski uśmiechnął się w duchu, zachowując kamienną twarz.

– Nie będzie pan żałował – zapewnił, wstając. – Pracy i tak prokuraturze nie zabraknie, a dzięki naszemu podziałowi każdy krok będzie łatwiejszy i bezpieczniejszy.

– Niech mi pan tylko jeszcze powie, mecenasie – zatrzymał go gestem ręki Misztur, przerywając masaż skroni – jak wytłumaczymy, dlaczego hipotetyczny trener X nie został zatrzymany, skoro składając obciążające zeznania w sprawie hipotetycznego sędziego Y, przyznał się, powiedzmy, do wręczenia łapówki?

– To proste – odparł Adamski. – Przecież i tak każda sprawa ma swoją dynamikę, swój oryginalny klucz, według którego pracuje prokuratura. Nie zatrzymujecie ludzi ot, tak sobie, bo ktoś coś powiedział. Macie swoją politykę sprawy. Teraz wasza polityka sprawy będzie w pewnym stopniu determinowana zawartością spisu osób nietykalnych.

– Ale pan wie, że dla prokuratury nie ma osób nietykalnych? – Misztur przewyciężył na moment upiorną migrenę, wyprostował się i dumnie wypiął pierś. Adamskiemu przez ułamek sekundy wydawało się, że podobnie zachował się orzeł biały wiszący na ścianie, którego widział kątem oka.

– Proszę sobie wyobrazić, że ludzie z białej listy nie są nietykalni, tylko – zastanawiał się nad trafnym określeniem – „tykalni” później.

Prokurator zmarszczył brwi.

– A co, jeśli to „później” nadejdzie? Co zrobimy, gdy wyczerpiemy czarną listę i trzeba będzie zająć się ludźmi z białej?

– Nie dojdzie do tego. Na czarnej liście pojawi się co najmniej sto pięćdziesiąt nazwisk, około dwudziestu klubów, z czego zawiąże się kilkadziesiąt trudnych, rozbudowanych spraw. Robota na pięć lat. Opinia publiczna będzie miała tego dosyć po pół roku. W tym samym czasie zainteresowanie nią stracą także media, a w odpowiednim momencie odpowiednia grupa ludzi upomni się o ukręcenie sprawie łba. Polacy to litościwy naród. – Adamski uśmiechnął się szyderczo. – Jesteśmy mistrzami w stawianiu grubych kresek. Proszę mi wierzyć, z trudem oporzędzicie czarną listę.

Misztur spojrział na Adamskiego. Spokój młodego adwokata zadziwiająco sprzęgał się z narastającą migreną. Poczul ponowne uaktywnienie wirtualnego młota pneumatycznego. Bez tabletek przeciwbólowych się nie obejdzie, pomyślał i podniósł z biurka notatkę, którą otrzymał rano od ministra. To ona sprawiła, że nie mógł rozmawiać z młokosem Adamskim z pozycji siły.

– To co, będę uciekał – rzucił lekko adwokat.

Misztur uśmiechnął się krzywo i wyciągnął rękę w kierunku Adamskiego. Przez kamienną maskę jego twarzy przebijał się cień triumfalnego uśmiechu.

– Cieszę się, że się dogadaliśmy.

Ludzka naiwność nie zna granic, szczególnie w sytuacjach kryzysowych. Mózg człowieka, nawet najbardziej rozsądnego, w obliczu poważnych zagrożeń zwykle szuka rozwiązań optymistycznych, liczy na szczęśliwe zbiegi okoliczności, a czasami nawet niewytłumaczalne racjonalnie cuda. Wszystko, byleby tylko uciec przeznaczeniu spod topora. Mózg Zdzisława Jakubika nie stanowił wyjątku. Każda kolejna noc przespana we wrocławskim areszcie utwierdzała go w przekonaniu, że wizja spędzenia kilku lat w takich warunkach jest koszmarem. Pierwsza rozmowa z mecenasem Michałem Adamskim rozczarowała go, ale mimo to właśnie Adamski pozostawał światłem w tym ciemnym, bagnistym tunelu. Łysy mnie z tego wyciągnie, Jakubik powtarzał sobie te słowa jak mantrę. Chciał w ten sposób zakląć rzeczywistość. Miał świadomość, że kłamstwo powtórzone po stokroć ma szansę stać się prawdą. Skoro tak, to mrzonka może okazać się rzeczywistością. A więc czarujmy, zaklinajmy rzeczywistość... Łysy mnie z tego wyciągnie, Łysy mnie z tego wyciągnie!... Ale niestety w tryby tej mantry dostawał się piasek i chrząścił między zębami echem słów Adamskiego – „ale się, Zdzichu, w chuj załadowałeś!”, wypowiedzianymi na dzień dobry, dwa dni wcześniej. Jakubik bił się z myślami. Skoro nawet optymistycznie nastawiony Łysy twierdzi, że „się w chuj załadowałem”, to sytuacja jest zła, bardzo zła.

– Sytuacja nie jest taka zła! – krzyknął już w drzwiach mecenas Adamski. Wszedł szybkim krokiem z rozwianą marynarą do pokoiku zwierzeń, rzucił na stolik aktówkę i usiadł naprzeciw Jakubika. – Widziałem się przedwczoraj z Krejem...

– Wyjdę za kaucją?

– Nie, nie – odparł szybko Adamski. – Aż tak dobrze nie jest. Ale nie jest już tak źle, jak było przedwczoraj. Nie będę owijał w bawełnę, swoje musisz, Zdzichu, beknąć, ale jeśli pójdziemy na współpracę, to za półtora roku będziesz hasał na wolności.

Jakubik spuścił wzrok. Wiedział, że to świetne wiadomości, bo kroila mu się pajda z górnej półki, może nawet dziesięcioletnia. Ale osiemnaście miesięcy za kratami też nie będzie lekko. Zmusił się do uśmiechu.

– Zdzisiek, wracamy z dalekiej podróży! – z uśmiechem na ustach Adamski chciał utwierdzić Jakubika, że przywiózł najlepsze wiadomości. – Po pierwsze, posiedzisz ze cztery razy krócej, niż sądziłem. Po drugie, nie będziesz się nudził, bo panowie mają do ciebie dużo pytań. Powspominasz stare dobre czasy...

– Mam sypać? Tak to załatwiłeś?

Mecenas spojrzał na Jakubika badawczo. Z tonu nie potrafił wywnioskować, czy ma pretensję, czy też pyta z ciekawości. Otworzył czarną aktówkę, wyjął papiery. Szukał jakiegoś dokumentu. Teraz Jakubik zaczął mu się intensywnie przyglądać.

– Powiedz mi, Michaś – zagaił wreszcie. – Skoro jestem elementem gry politycznej i moja głowa ma wartość być może nawet wygranych wyborów, to dlaczego nie chcą mnie udupić na amen? Coś ty obiecał temu całemu Krejowi, że przywiozłeś takie dobre wieści?

– Zabawna historia... – zaśmiał się szczerze adwokat, ciągle nurkując w aktówce, wertując papiery. – W trakcie konsultacji z premierem zdali sobie sprawę, że kilku ich funfli miało z tobą kiedyś jakieś tam kontakciki, coś tam z tobą załatwiali. To już dawno było i jak to się mówi „nieprawda”, ale woleliby, żeby tamte nazwiska nie wypłynęły teraz.

– Ktoś z RDL-u ustawiał coś przeze mnie?

– Nie tylko. Podobno z Unii Narodowej też. Zresztą oni tak kursują między tymi partiami, że cholera wie, kto jest kto, kim i gdzie. Nieważne. Ważne jest to, że ten „ktoś”, a raczej te „ktosie” są teraz bardzo wysoko w hierarchii i po prostu... no wiesz, Zdzichu, co ja ci tu będę tłumaczył jak krowie na rowie. Oni na pełną wymianę z tobą nie mogą pójść. Ty i sieć twoich kontaktów jesteście trochę jak wielka wanna, której nie mogą na chłama przechylić, bo wylaliby razem z tobą i twoimi kumplami, także kilkoro swoich dzieci. Czaisz?

– Czaję. – Jakubik po raz pierwszy od kilku dni szczerze się uśmiechnął. W oku błysnął mu cień nadziei. – No dobra, ale powiedziałaś na początku, że będzie dobrze, jak pójdziemy z nimi na współpracę...

Adamski wreszcie dogrzebał się do poszukiwanych papierów spiętych niechlujnie biurowym spinaczem.

– Mam – rzekł spokojnie przyglądając się notatkom. – A więc do rzeczy. Pamiętasz *Listę Schindlera* albo *Cenę Łysiaka*?

Jakubik zmarszczył brwi.

– Lista? Cena? Nie znam żadnego Łysaka...

– Łysiaka. Zresztą nieważne. – Adamski machnął ręką. – Przygotujesz spis ludzi, z którymi przez lata współpracowałeś najczęściej, a później podzielisz ją na dwie części, czarną i białą. Na czarnej zostawisz ludzi do odstrzału, i tego nie możemy uniknąć, a na białą możesz wciągnąć tych do uratowania. Postaraj się, żeby na czarnej znalazło się kilka dużych, znanych nazwisk. Nie może być ich mniej niż dwadzieścia. Lepiej żeby było więcej. Pamiętaj, tyle ile wpiszesz nazwisk na listę czarną, tyle samo możesz umieścić na białej. Rachunek jest więc prosty. Trochę ludzi musisz udupić, ale ilu udupisz, tylu też z tego bagna wyciągniesz.

– Ilu udupię, tylu wyciągnę... – Jakubik powtórzył ostatnie słowa Adamskiego, starając się je dobrze zrozumieć. – To po cholere im ta biała lista? Przecież można ich w ogóle nie wpisywać na żadną listę! Jaką mam gwarancję, że oni tych ludzi z białej listy nie będą też ciągać po sądach?

Adamski spojrzał z pretensją.

– Kurwa, Zdzichu, w sytuacji, w której ty się obecnie znajdujesz, nie możesz liczyć na żadne gwarancje! Będą ich ciągać po sądach, i już ci to mogę powiedzieć, ale w charakterze świadków. Ci z białej listy będą mieli obowiązek nadawać jak papugi na tych z czarnej. Czaisz? Biała lista dostarczy prokuraturze świadków na talerzu, i to takich świadków, którzy

będą musieli zeznawać, bo gdyby mieli kłopoty z pamięcią albo kryli się miesiącami za zwolnieniami lekarskimi, to szybko będzie ich można przerzucić na czarną listę.

– No tak, a na białej liście miejsce z urzędu dostaną funfle ministra... sprytne – Jakubik szeptał do siebie. Myślał wolno, ale nadążał za wywodem Adamskiego. Wszystkie puzzle tej układanki powoli wskakiwały na właściwe miejsca. Obrazek stawał się kompletny.

Mecenas przyglądał się intensywnie Jakubikowi.

– To jak, Zdzisiek? Podać ci dwie karteczki i długopis?